

Jak powstały „Gwiezdne wojny”?

10 lipca 2014

„Panowie. Zbliża się dzień „Gwiezdných wojen”. Czas poczynić plany” – taką kwestią rozpoczyna się jeden z odcinków serialu, który podbija w ostatnich latach serca publiczności. I choć bohaterowie „Teorii wielkiego podrywu” uważają się za wyjątkowych, to są tylko małą częścią wielomilionowego tłumu fanów sagi George’a Lucasa...

Cofnijmy się w czasie o trzydzieści siedem lat. Jest 25 maja 1977 roku. George Lucas właśnie umówił się na lunch ze swoją żoną Marcją – w barze z hamburgerami, nieopodal słynnego kina Manns Chinese w Hollywood. Kiedy dociera do umówionego miejsca, nie może uwierzyć własnym oczom. Przed kinem stoi gigantyczna kolejka, a ludzie odchodzą z pustymi rekami od okienka biletowego. Lukas parzy i nie wierzy – w takim stylu na ekrany wchodzą jego ukochane „Gwiezdne wojny”.

Lucas miał prawo nie wierzyć, choć dziś może wydawać nam się to dziwne. Kiedy zaledwie kilka tygodni wcześniej urządził pokaz dla swoich przyjaciół – w tym dla Stevena Spielberga – film nie spotkał się z ciepłym przyjęciem. Od tej pory reżyser spędzał całe dni przy stole montażowym, aby uratować swoje dzieło. Liczył, że przy dobrych wiatrach film zarobi około 16 milionów dolarów – tyle, ile zysku przynosił przeciętny film Disneya.

REŻYSER Z AMBICJAMI

W 1973 roku Lucas nakręcił „American Graffiti”. Historia nastolatków wchodzących w dorosłe życie przyniosła mu rozgłos i uznanie. Hollywood oczekiwało, że następne jego filmy będą podobne. Tym większe było zdziwienie wytwórni, kiedy Lucas zaczął chodzić od drzwi do drzwi i proponować wyprodukowanie historii, którą wymyślił sam. Mowa była o jakimś Imperium,

księżniczce Lei, rycerzach Jedi. Nikt nie rozumiał tej fabuły – ani jego agent, ani United Artists i Universal, do których Lucas zgłosił się z pomysłem. Dopiero 20th Century Fox zareagowało życzliwie. Bardziej od opowiadania przekonał ich fakt, że Lucas nie chciał dużej sumy pieniędzy, ale praw do produkcji gadżetów, książek i ścieżek dźwiękowych oraz kontroli nad możliwymi ciągami dalszymi. Wówczas sprzedawanie pamiątek związanych z filmem nie było dochodowe – Fox bez problemu przystał więc na te warunki. Dziś gadżety związane z „Gwiezdnymi wojnami” – stroje rycerzy Jedi czy figurki – należą do obowiązkowych „must have” wśród fanów. Jeden z bohaterów „Teorii wielkiego podrywu” dysponuje nawet... szamponem z Darthem Vaderem.

Choć Lucas miał pomysł, miał również ogromne trudności z napisaniem scenariusza. Wertował komiksy w nadziei na znalezienie inspiracji. Ming z komiksu „Flash Gordon” został pierwowzorem Imperatora, a robot C-3PO pochodzi z „Iron Men of Mongo”. 28 stycznia 1975 roku scenariusz zatytułowany „Przygody Starkillera” był gotowy. Przyjaciel reżysera, który jako jeden z pierwszych otrzymał scenariusz do oceny był przerażony. Z całej tej dziwnej historii nie rozumiał ani słowa.

POSZUKIWANY: KOWBOJ W GWIEZDNYM STATKU

Lucas wziął sobie do serca uwagi bliskich i rozpoczął kolejne miesiące pracy nad scenariuszem. W nowej wersji Luke z generała stał się wiejskim chłopcem, pojawił się też pomysł z hologramem Lei proszącej o pomoc. Ponadto reżyser zgłosił się do Ralfa McQuarrie’go z Boeing Aircraft o stworzenie malowideł do scenariusza. Te obrazy na tyle przekonały wytwórnię, że dała „Gwiezdnym wojnom” zielone światło.

Kolejnym problemem okazało się znalezienie aktorów. Wytwórnia – niepewna sukcesu szalonego reżysera – chciała, aby w filmie zagrało jak najwięcej znanych osób. Jeżeli fabuła okazałaby się niewypałem, magnesem na publikę byłyby przynajmniej znane

twarze. W tym czasie w Hollywood przebywał akurat Alec Guinness – kręcił film „Murder by Death”. Pewnego dnia w swojej charakteryzatorni znalazł scenariusz Lukasa – choć nikt nie potrafił wyjaśnić, skąd się tam wziął. Mimo, że fabuła była w zarysie, aktorowi tak spodobał się ten pomysł, że spotkał się z reżyserem i przyjął rolę. Dopiero parę miesięcy później reżyser powiadomił go, że znalazł wreszcie idealne zakończenie dla jego postaci: Kenobi zostanie uśmiercony i w drugiej połowie filmu przemieni się w „istotę astralną”. Sławny aktor nie był tym pomysłem zachwycony – groził nawet odejściem z produkcji.

Sporych problemów nastroczała też rola Hana Solo – reżyser nie mógł znaleźć aktora, który odpowiadałby jego wyobrażeniom o pilocie Sokoła Millennium. Według Lukasa miał to być ktoś „w stylu twardego Jamesa Deana, gwiazdny pilot, kowboj w gwiazdnym statku: prosty, sentymentalny, zarozumiały”.

Przez pewien czas rozważał nawet czarnoskórego aktora – Glynnę Turmana. Reżyser ignorował rady swojego przyjaciela, Freda Roosa, który namawiał go na przesłuchanie Harrisona Forda. Lucas współpracował już z nim na planie „Amerykańskiego Graffiti” – wiedział, że z tym aktorem nie pracuje się łatwo. Ale Roos nie dawał za wygraną – zatrudnił Forda, który był stolarzem, do wykonania wejścia do budynku firmy. Aktor irytował się: „Lucas tu przychodzi, nie chcę, by widział, że pracuję przy tych cholernych drzwiach!”. Ale Fred doskonale wiedział, co robić – Ford będzie idealnym Hanem Solo i Lucas wkrótce się o tym przekona.

I rzeczywiście, po wielu dniach Lucas odkrył, że jego idealny Han Solo był cały czas obok. Ostatecznie reżyser wybierał pomiędzy dwoma zespołami: w jednym była Carrie Fisher, Mark Hamill i właśnie Harrison Ford, a w drugim: Christopher Walken, Will Selzer i Terri Nunn. Wszyscy wiedzą, która grupa wygrała ten pojedynek.

TU KRĘCONO „GWIEZDNE WOJNY”

Zdjęcia rozpoczęły się 25 maja w Tunezji – ten afrykański kraj znakomicie pasował krajobrazem do odegrania pustynnego Tatooine. Warunki nie były łatwe. Ekipa poruszała się w specjalnych okularach, które chroniły przed burzami piaskowymi. Zespół przez cztery dni rozstawiał przygotowane w Anglii dekoracje. Podczas jednej nocy rozpętała się burza, która „rozmontowała” piaskowego pełzacza – w efekcie kręcenie scen z tym pojazdem trzeba było przesunąć, a aktorzy cały dzień poświęcili na szukanie elementów porzucanych po pustyni.

Dużo wycierpieli też odtwórcy robotów. Anthony Daniels, który wcielał się w C-3PO wiecznie chodził pokaleczony, gdyż raniły go metalowe elementy kostiumu. Z kolei Kenny Baker miał ze swoim robotem problem innego rodzaju. R2-D2 miał być sterowany radiowo. Niestety, ekipa kupiła nadajniki radiowe w Tunezji, a te okazały się być dość marnej jakości. W efekcie, Baker musiał sterować robotem ręcznie. Cała maszyna była tak głośna, że aktor nie słyszał kiedy kończy się scena. Antidotum na to miał być młotek – ale nie po to, by robota naprawić. Po prostu jeden z członków ekipy po zakończeniu sceny miał walić nim w blachę maszyny. Ostatecznie zdecydowano się usunąć Bakera i wszelką elektronikę, a R2-D2 został wprowadzony w ruch przez Lukasa – reżyser ciągnął go za pomocą niewidocznej struny od pianina.

W Tunezji kręcono zdjęcia z Markiem Hamillem i Alekiem Guinnessem oraz robotami. Towarzyszyła im także grupa Jawów, w którą wcieliły się: pięcioro tunezyjskich dzieci, jeden angielski i jeden tunezyjsko-francuski karzeł, oraz dwie córki Gary’ego Kurtza – producenta filmu. Dziś turyści, którzy dojadą do Matamy, mogą dostrzec tabliczkę zawieszoną nad wjazdem do wsi z napisem „Tu kręcono Gwiezdne wojny”.

Wytwórnia była jednak coraz bardziej sceptyczna. Nieznani nikomu aktorzy, niezrozumiała fabuła – to wszystko powodowało, że Fox miał coraz większe obawy odnośnie projektu. W dodatku Lucas dopiero teraz odkrył wszystkie karty – okazało się, że

zamiast pierwotnie zakładanych 3,5 miliona dolarów będzie potrzebował... 10 milionów! Dziś, czytając o realizacji całego przedsięwzięcia można odnieść wrażenie, że cała produkcja była wielką katastrofą, i to nie tylko w sensie metaforycznym. Pewnego dnia doszło nawet do tego, że pracujący na planie pirotechnicy przez przypadek... wysadzili część dekoracji. Peter Mayhew, filmowy Chewbacca tak wspominał pracę na planie: „Powiedziano nam, że efekty specjalne zostaną zastosowane później. Kiedy powiedzieli, że statek kosmiczny będzie się przesuwał wśród asteroidów, nikt nie wiedział, co to są asteroidy. Mówiono nam: zróbcie to, stańcie tam. Trudno było sobie uświadomić, co to wszystko znaczy... George był taki spięty, a przy tym pełen entuzjazmu, chciał, aby wszystko było zrobione zgodnie z jego poleceniami. Każdy się podporządkowywał w mniejszym lub większym stopniu. To było spotkanie starodawnego stylu z nowoczesnością.”

O ile aktorzy starali się przynajmniej zrozumieć, o co w tym wszystkim chodzi i tolerowali dziwne zachowanie reżysera, o tyle największe problemy z nim miała angielska ekipa techniczna. W pewnym momencie doszło do ostrego starcia między Lucasem operatorem Gilem Taylorem. Taylor nie chciał użyć miękkich soczewek, które według reżysera miały tłumić obraz. „Za karę” Lucas zaczął przestawiać światła na planie. Ostatecznie doszło jednak do rozejmu. Lucas zaczął się bowiem obawiać, że jeśli wyrzuci operatora, odejdzie całą ekipa.

TEN NAUKOWY FILM

Po drugiej stornie barykady byli aktorzy. Ci starali się wzajemnie wspierać i wspólnie się bawić. Tak jak w filmie, Obi Wan Kenobi jest mentorem dla Luke’a, tak Alec Guinness stał się nauczycielem dla Harrisona Forda. Dla młodego aktora okazało się być to wybawieniem. Jak powiedział później Lucas: „Sądzę, że doświadczenia z filmów „Gwiezdne wojny”, a zwłaszcza pierwszego i praca z wieloma brytyjskimi aktorami, wzbogaciły go jako aktora. Zobaczył, że to jest prawdziwy zawód – to znaczy, jak pracuje się profesjonalnie na planie.”

Ponadto filmowy Han Solo zaprzyjaźnił się z Carrie Fisher. Często wspólnie wymyślali na planie zabawy. W jednej z nich chodziło o zastąpienie słowa „ty” wyrazem „Żyd”. Chodzili więc i wspólnie śpiewali: „ Żyd rozjaśnił moje życie”. Zabawa ta nie skończyła się jedną zbyt radośnie – asystent reżysera oskarżył ich o antysemityzm. Nie wiedział, że obydwójce są pochodzenia żydowskiego.

Ostatnie zdjęcia kręcono w szalonym tempie. Foxowi znudziło się finansowanie „tego naukowego filmu” – jak mówiono w wytwórni o „Gwiezdnym wojnach”. Kiedy po powrocie jeden z przyjaciół zapytał Harrisona Forda o fabułę, aktor odparł: „Och, taki western w kosmosie”. Pokazał znajomemu fotosy z planu, a wśród nich te z odtwórcą Kenobiego. Przyjaciel był w szoku: „Grałeś w tym filmie z Alekiem Guinessem i mówisz, że to był „western w kosmosie!”. Ford był jednak zrezygnowany – obawiał, że film zrobi klapę, a on do końca życia będzie stolarzem. W podobnym tonie wypowiadał się Dave Prowse: „Szczерze mówiąc, wszyscy myśleliśmy, że to klęska”.

Sukces przerósł oczekiwania wszystkich – w tym samego Lukasa. „Nowa nadzieja” dała ogromnej rzeszy kinomanów nadzieję na powrót do starego, dobrego kina. Jak pisał Andrzej Kołodyński: „Dawno, dawno temu, na odległej galaktyce... – napis ten nie jest tylko zaproszeniem do udziału w baśni, ale przywołaniem fantastycznego świata seryjnych (a nie znanych w Europie) filmów z Flashem Gordonem (...). Luke Skywalker na kosmicznej farmie jest amerykańskim „chłopcem z prowincji”, prostodusznym, dobrym i dzielnym, pojawiającym się w westernach i rodzinnych komediach (...) Bar kosmiczny przypomina westernowy saloon, zaludniony przez najbardziej fantastyczne stwory; nie brak kosmicznej orkiestry jazzowej, która milknie dopiero podczas bójki, a kowbojskie colty zastąpiono miotaczami laserowych promieni.”

Nagle całkiem logiczne wydało się, że Lucas w swojej umowie zastrzegł, iż ma wyłączne prawo do decyzji dotyczących kontynuacji serii. Poszedł więc za ciosem – w 1980 na ekrany

kin weszło „Imperium kontraatakuje”, a trzy lata później – „Powrót Jedi”. W latach dziewięćdziesiątych Lukas powrócił do serii, twierdząc, że wreszcie technika w pełni spełnia jego oczekiwania. Ostatnia – póki co – nakręcona część weszła do kin dziewięć lat temu.

PONOWNY POWRÓT JEDI

Fascynacja „Gwiezdnymi wojnami” nie słabnie. Mnożą się fankluby i stowarzyszenia, wciąż jest ogromny popyt na gadżety związane z serialem. Na aukcjach internetowych bez problemu można zakupić miecze świetlne czy też zegary w kształcie hełmu Dartha Vadera. Saga Lucasa jest baśnią dla osób w każdym wieku. Bożena Umińska, która nazwała produkcję „Mityczno-filozoficznym Eintopfem” pisała: „„Gwiezdne wojny” są bajką snutą przez dzieci końca tego wieku – dla innych dzieci, małych i dorosłych. Bo to jest spójnią, w całym swoim nieopamiętanym ekletyzmie. Bajka, fajerwerk filmowy, rozbłysk wyobraźni skupiający to, co było, i to, co jest, w scenerii tego, co może być. Trzeba naprawdę nie mieć w sobie ani krzty dziecka, żeby się nie dać temu uwieść. Jeśli ktoś sądzi, że to intelekt wznosi go powyżej poziomu „Gwiezdných wojen”, to powiem, że nie tyle intelekt, co ambicje intelektualne. Mówiąc językiem „Gwiezdny wojen” nie „panujesz nieboraku, nad ich (ambicji) mocą, ich moc poskromiła w tobie dziecko”.”

W październiku 2012 roku świat obiegła informacja, że studio Disney kupiło LukASFilm, a co za tym idzie – powstaną kolejne części „Gwiezdných wojen”. Natychmiast wywołało to ironiczną reakcję internautów: czyżby myszka Miki przeszła na ciemną stronę mocy? A w jakim kierunku pójdzie produkcja Disneya? Tego dowiemy się w już w 2015 roku. Być może ocena fanów będzie podobna do tej, jaką o nowej serii ma Sheldon Cooper. We wspomnianym już odcinku pada takie stwierdzenie: „Układam plan dnia „Gwiezdných wojen”. Po „Mrocznym widmie” rezerwuję okienko na wieszanie na nim psów, ale może godzina to za mało?”

Autor: Agata Łysakowska

Źródło: Histmag.org

Licencja: [CC BY-SA 3.0](https://creativecommons.org/licenses/by-sa/3.0/)

BIBLIOGRAFIA

1. Denker Oliver, Gwiezdne wojny. Jak powstawała kosmiczna trylogia, wyd. In Rock, Poznań 1997
2. Jenkins Garry, Harrison Ford. Bohater niedoskonały, wyd. Amber, Warszawa 1999
3. Kołodyński Andrzej, Gwiezdne wojny, „Film” 1977, nr 52, s. 17
4. Umińska Bożena, Gwiezdne wojny. Tym razem poważniej, „Film” 1985, s. 17-19.